

ZBRODNIEM W KOTLINIE KŁODZKIEJ

HUBERT HENDER

FALSZ

BUKOWY LAS

**CYKL Z KOMISARZEM KRAUZEM
I ASPIRANTEM FIJAŁKOWSKIM**



MILCZENIE

FAŁSZ

POTWÓR

POLOWANIE

CIEMNOŚĆ

Prolog

Od dłuższego czasu wpatrywał się w ślady, które zostawiała idąca przed nim osoba. Wreszcie podniósł głowę i spojrzął na prześwit, wyłaniający się między dwiema leśnymi ścianami. Widział stąd tylko niewielki pas górskiego wzniesienia. Spojrzął w prawo. Tam teren zmieniał się w strome kamienne zbocza, po których przedzierały się chyba tylko uciekające przed kimś zwierzęta.

Wyprawa miała być przyjemnością, ale według niego stawała się nie do wytrzymania. Czuł zmęczenie. Niestety, wiele wskazywało na to, że mieli jeszcze sporo do przejścia. Otaksował wzrokiem wysokie wzniesienie. Coraz bardziej mu się to nie podobało. Ta godzina, to miejsce. Do tego wszystkiego, co widział i co czuł, dochodziły wspomnienia z dzieciństwa. Mama opowiadała mu niestworzone rzeczy o tym miejscu, o Grabinie i pobliskich górach. Najbardziej bał się wzniesienia noszącego nazwę Żmij; przez całe życie będzie się mu kojarzyło z tymi ohydnyymi, oślizgłymi stworzeniami, które w jego koszmarach wpełzały po kryjomu do ciemnego domu. Wielokrotnie budził się w nocy, zapalał lampę w swoim pokoju dziecinnym i zaglądał pod łóżko. Bał się, że żmije z opowieści przenikną do mieszkania, wsuną się bezszelestnie pod kołdrę i go ukąszą.

Od tamtej pory Góry Sowie wzbudzały w nim strach. Bał się tych lasów. Bał się tych gór, urwisk, skał. I wiele w tym było winy matek, które straszły dzieci, zmyślając historie o Babie-Jadze porywającej niegrzeczne dzieci. I chociaż zdawał sobie sprawę, że to bzdury, do dziś tkwiła w nim jakaś część irracjonalnego strachu, niedającego się tak po prostu wyrzucić z pamięci. Bo dzieci chłoną straszne historie, które w ich małych umysłach kiełkują, pęcznieją, rozrastają się. I zostają, bo takie jest prawo dziecięcego umysłu, że to, co nie zostało powiedziane, należało sobie wypowiedzieć.

– Daleko jeszcze? – zapytał po raz kolejny, patrząc na horyzont, który z trudem przebijał się między drzewami.

– Parę minut. Nie będziesz żałował i jeszcze mi podziękujesz – odpowiedziała jego dziewczyna Natalia, która szła przed nim.
– Tylko nie wiem jak – dodała.

Była w dobrej formie. Dużo trenowała i miała zdecydowanie lepszą kondycję, bo na co dzień jeździła na rowerze i biegała. Pełna sił i energii, ciągle gdzieś znikwała. Spotykała się ze znajomymi. Dla niej taki marsz nie był niczym wyjątkowym. Dla niego wręcz przeciwnie. Nie pamiętał, by ostatnio wyszedł dalej niż do sklepu. I dlatego zmusiła go do wyjścia z domu, gdzieś dalej. Zgodził się, bo w pewnym momencie jej namowy stały się wręcz nieznośne. Któregoś dnia podeszła, zamknęła mu laptop i powiedziała stanowczo:

– Dość tego siedzenia. Zapuszczasz tu korzenie. Chodźmy gdzieś, gdziekolwiek, bo zaraz oszaleję. Tyle razy ci mówiłam, żebyśmy gdzieś pojechali, spędzili razem czas, poszli wreszcie w góry. To będzie coś wyjątkowego. No, dawaj – rzekła, wyciągając jego ubrania z szafy – to ostatnia szansa. Potem ma się ocieplić. Zwijaj się. Mam fajny pomysł. Nie pożałujesz.

Chciał, by się od niego odczepiła. Pragnął chwili spokoju, ale zamierzał jej też pokazać, że ma jeszcze w sobie trochę tego młodzieńczego szaleństwa – i dlatego się zgodził.

Przeszli kolejne kilkadziesiąt metrów. Ich stopy wbijały się w głębokie zasy, dziurawiąc idealnie płaską powierzchnię warstwy śniegu.

W oddali widział przebijające się cienkie nitki pomarańczowych promieni słońca, ale ich niknąca siła podpowiadała, że za kilkanaście minut zaczną zmierzchać, a potem nastanie surowy i chłodny mrok, który uniemożliwi im zjazd. A wtedy będą musieli zejść pieszo jakimś szlakiem.

Grabina, znajdująca się w środkowej części Gór Sowich, wznosiła się nad doliną na wysokość niespełna tysiąca metrów. Porośnięta była gęstym lasem, który zimową porą tworzył z daleka złudzenie igieł powbijanych w górę ze śnieżnobiałego styropianu.

Wyobraził sobie ich samych idących po białym szczycie, tak jakby byli malutkimi postaciami na makiecie, która kształtem przypominała nieco zdeformowany stożek, z jednej strony bardziej spadzisty, z drugiej zaś, właśnie w tym miejscu, po którym szli, nieco łagodniejszy, choć wcale niełatwy do przebycia.

Analizował, co ich czeka. I wciąż miał wątpliwości, czy była to odpowiednia pora na zjazd. Nie potrafił sobie tego dobrze wyobrazić. Zastanawiające, że nikt tędy nie jeździł. Ale Natalia uwielbiała nowe wyzwania, normalną konsekwencją jej niepohamowanego apetytu na życie było więc to, że chciała się tutaj wybrać. Gorzej, że z nim. Jeśli w okolicy istniała trasa, po której nikt nie biegał, musiała tam pójść. Jeśli gdzieś w pobliżu znajdował się zbiornik wodny, musiała się tam wykąpać. Chociażby tylko po to, by zakosztować czegoś nowego. Z Grabiną było podobnie; to góra, po której spacerowali turyści, choć oczywiście nie o tej porze, nie po takich zaspach. Natalii to jednak wcale nie przeszkadzało. Powiedziała, że jej koleżanka już tędy zjeżdżała i że oni też powinni.

– Tam – wskazała ręką w lewą stronę i uśmiechnęła się tajemniczo – jest nasz cel. Jeszcze dosłownie parę minut, a potem będzie niezła jazda.

Popatrzył na nią przenikliwie, ale nie odwzajemnił uśmiechu, bo nie potrafił dzielić tej radości.

Po kilkunastu minutach monotonnego marszu, urozmaico- nego tylko rytmicznym chrzęstem zmrożonego śniegu, dotarli na szczyt. Roztaczał się stąd widok na okolicę – niewielkie, nie- mał mikroskopijne domy przysłonięte jasną smugą prószonego śniegu, dymiące kominy, ledwie dostrzegalne światła.

Dziewczyna zatrzymała się, rozejrzała, zamknęła na moment oczy, po czym wzięła głęboki wdech. Miał wrażenie, że dotarcie tutaj sprawiło jej dużo radości.

To był jej świat. Świat ruchu i ciągłego działania. Ale mi- mo tak odmiennych charakterów, dobrze się dogadywali. Ona żyła swoimi zajęciami, on się poświęcał pracy, programowaniu. W wolnym czasie grał na komputerze, bo stanowiło to świetną odskocznię i dobry relaks. Nic innego tak skutecznie nie rese- towało umysłu. Niestety, Natalia nie potrafiła tego pojąć, nie rozumiała jego świata. Podobnie jak on nie rozumiał jej świata i jej potrzeb.

Popatrzył w tym samym kierunku co ona. Ocenił, że jeśli za moment nie ruszą, widoczność będzie już słaba, a nim dotrą na dół, zrobi się ciemno. Bo zima bywa zdradliwa, czasami aż za bardzo. I właśnie tego bał się najbardziej.

Spojrzała na niego zadziornie, a jej spojrzenie, miał wraże- nie, mówiło: „Jestem podniecona na samą myśl o tym, co za chwilę nas czeka. Za moment w moich żyłach popłynie czysta adrenalina”.

Machnął ręką. Chciał już mieć to za sobą, zjechać czym prędzej i wrócić do domu, usiąść w wygodnym fotelu i włączyć lap- top. Zdjęli plecaki, wyjęli buty narciarskie. Przebrała się szybciej i sprawniej. Naciągnęła gogle, po czym krzyknęła głośno:

– Jedź za mną!

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła przed siebie, w dół, między drzewami i skałami. Koniec trasy znajdował się za wieloma zakrętami i wyrastającymi pojedynczo drzewami, które należało umiejętnie omijać, by nie skończyć z twarzą w śniegu i ze złamanymi kończynami.

Patrzył, jak jej sylwetka znika w dole. Zaraz potem wbił wzrok w dal. Fakt, pomyślał, niezłe widoki. Żył w tej okolicy od dwudziestu pięciu lat i nigdy nie widział kotliny z tej perspektywy. A było co oglądać. Kiedyś zobaczył te miejsca, korzystając z Google Earth. I chociaż przyglądał się tym samym miejscowościom, dolinom, wzniesieniom, załamaniom terenu, to na żywo widoki zwały z nóg. Wszystkie doznania stawały się znacznie intensywniejsze dzięki temperaturze, zapachom. Czuł to naprawdę.

Sycił się jeszcze przez chwilę tym widokiem, wziął głęboki wdech jak przed trudnym egzaminem, po czym ruszył po śladach Natalii.

Wiatr, którego nie było wcześniej czuć, teraz smagał jego zmarznięte policzki. Wykonywał skręty, choć nie miał w tym wprawy. Od lat nie jeździł na nartach, a tutaj został rzucony na głęboką wodę. Trasa nie była łatwa. Drzewa i krzaki uniemożliwiały szybki zjazd. Przyhamował trochę, bo bał się, że za moment straci kontrolę nad nartami. Natalia znajdowała się daleko przed nim, widział w oddali jej niewielką postać; pojawiała się i znikwała. Miał wrażenie, że usłyszał jej krzyk – może radości, może ekscytacji. Nie potrafił ocenić.

Chociaż zjazd wydał mu się trudny, musiał przyznać, że to faktycznie dobra zabawa. Kurczę, może to nie był zły pomysł. Może za jakiś czas to powtórzą. Tylko w lepszych warunkach i na innej górze. Ta jest zbyt niebezpieczna. Odpowiedni byłby Rymarz.

Z zamyślenia wyrwał go nagły nieprzyjemny zgrzyt. Najechał na kamień. Od razu przyhamował.

Przykucnął. Chciał sprawdzić, czy nie zniszczył nart. Wszystko było w porządku, choć na jednej z nich dostrzegł długą rysę. Natalia jakoś ominęła przeszkodę. Albo miała szczęście, albo ją w porę dostrzegła.

Popatrzył w górę na grafitowe niebo. Niedobrze, zaraz się ściemni. Korzystając z okazji, wyciągnął telefon. Na ekranie widniały wiadomości od kumpli z pracy, z którymi często umawiał się na nocne granie. Mike wspomniał, że znalazł nowy uni-katowy miecz. Co za cholerny farciarz, powiedział do siebie. Ten to zawsze ma najlepszy drop i ekwipunek dla swojej postaci. Johanes, tak naprawdę Janek, wspominał o komplecie rzadkich pierścieni, które wydropił z bossa. Dzięki nim będzie miał silniejszą postać i łatwiej ubiją moby. Pozazdrościł im.

Popatrzył przed siebie, ale nigdzie nie widział Natalii. Pewnie nawet nie zwróciła uwagi, że się zatrzymał. Musiała mocno przyspieszyć. Albo zbyt długo czytał wiadomości. Schował telefon, założył gogle i ruszył przed siebie.

Widoczność stawała się coraz bardziej ograniczona. Mogli uzgodnić, że będą jechali obok siebie. W miarę możliwości oczywiście.

W pewnym momencie dostrzegł dziwne ślady na śniegu. Zatrzymał się i patrzył na nie. Miał wrażenie, jakby też się tutaj przed momentem zatrzymała. Może chciała coś ominąć. Ale co? Nie widział żadnej przeszkody, więc po co zahamowała?

Zdjął czapkę. Poczul podmuch wiatru, który przeciskał się między drzewami z jednostajnym świstem. Niczego więcej nie słyszał.

Ślady, które miał przed oczami, wiły się w miejscu, a potem skęcały prostopadłe. Nie w dół, jak prowadziła zaśnieżona trasa, lecz w bok, pod kątem.

– Natalia! – krzyknął. Dźwięk rozszedł się po okolicy. Odpowiedziało mu tylko echo. Jego głos był pusty, pusty i głuchy jak to miejsce.

Brak odpowiedzi.

Popatrzył na komórkę. Żadnego nieodebranego połączenia. Zresztą niby kiedy miałyby do niego zadzwonić? Wybrał numer i czekał. Brak sygnału. Odpiął narty i zdjął buty narciarskie, włożył wyjęte z plecaka górskie obuwie i ruszył jej śladem.

Wszedł w gąszcz drzew i niższych krzaków. Gałęzie smagały go po rozpalonych do czerwoności policzkach. Przyspieszył, choć nie było to łatwe.

Wciąż się nie odzywała. Dlaczego? Dlaczego skręciła? Chciała się przed nim schować? Czy to jakiś rodzaj gry, zabawy? Znow kierowała nią ciekawość, której nigdy nie rozumiał i nie był w stanie ogarnąć? Pytania, które sobie zadawał, niestety nie rodziły odpowiedzi, a mimo to wciąż ich szukał i nie ustawał w domysłach.

– Nataliaaaaa! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, bo tylko to mógł teraz zrobić. Zadzwonił ponownie, bo była to namiastka nadziei, która zawsze tliła się w takich sytuacjach. Znow brak sygnału. Cisza.

Ruszył przed siebie, wpatrując się w ekran, ale zaraz potem w oczy rzuciło mu się coś dziwnego. Inne ślady, duże, znacznie cięższej osoby. Spotkała kogoś? Może jakiegoś swojego kumpla albo – nie daj Boże – swojego pierwszego chłopaka, z którym chodziła w liceum. Odgonił od siebie tę myśl. Więc kto to był?

Przyspieszył. W gąszczu drzew widział coraz mniej. To go martwiło.

Staął. Popatrzył za siebie. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale nikogo nie dostrzegł.

Kiedy ruszył naprzód, usłyszał szept. Cichy, lekki, aksamitny szept. Tak nierealny, że nawet nie potrafił ustalić, skąd dochodził. A mimo to wiedział, że się nie przesłyszał.

Może ten głos to był tylko szum wiatru? – pomyślał. Może to tylko jakieś... No właśnie, co? Ocknij się, człowieku, zmobilizował sam siebie.

I nagle rozległ się głos:

– Mar...cii...

Nasłuchiwał, ale nic więcej nie usłyszał. Nie potrafił ocenić ani kierunku, ani odległości od miejsca, z którego dobiegał ten głos. Akustyka była tu złudna.

Po kilkunastu metrach przystanął. Na jasnym tle, może jakiejś małej łące albo polanie, dostrzegł ciemny punkt. Wyglądał jak worek. A może to zwykły konar? Biegnij, mobilizował się w myślach, stawiając coraz większe kroki. Idąc, nie odrywał wzroku od tego ciemnego kształtu. Miał już pewność, że to nie kawałek drewna, jak jeszcze przed chwilą sądził. Serce waliło mu jak młotem. A może to młot walił w jego serce, w sam środek, w najczulszy i najtkliwszy punkt.

– Na...talia? To ty? – zapytał, choć wiedział, że to ona. Powiedział to odruchowo, by się na moment oszukać.

Dziewczyna leżała bez ruchu. Już nie krzyczała. Dyszała tylko ciężko. Jakby nie miała sił.

I nagle poczuł absurd całej sytuacji, tak irracjonalny, że aż niemal niemożliwy, jakby to się w ogóle nie działo albo jakby śnił.

Leżała, trzęsła się, dygotała. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Czuł, jak zalewa go fala gorąca, a w żyłach ścina się krew. Ciało zupełnie przestało go słuchać. Układ nerwowy szalał. Nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Zbliżył się do niej. Leżała półprzytomna, mamrocząc coś pod nosem. Przysunął się. Twarz miała całą we krwi, a z przymkniętych oczu płynęły łzy.

Oberwała w głowę. Bardzo mocno. Miała zmiażdżony nos. Policzki. Usta. Brodę. Ktoś dosłownie zmasakrował jej twarz. Głowę opierała o niski pień. Chciał zrozumieć, co się tutaj wydarzyło. Nie wiedział, co powinien zrobić. Jak ją ratować. Nic mu nie przychodziło go głowy.

– Boże, co ci się sta...stało?

Popatrzył na Natalię. I w tej samej chwili ich spojrzenia się spotkały. Jej oczy wyrażały potworny ból, niewyobrażalną mękę. Ale i coś jeszcze, coś, czego nie potrafił rozpoznać.

Ledwie poruszając zmiażdżonymi ustami, wyszeptła:

– Prze...pra...szzz...

Zamilkła. Objął jej głowę. Z potylicy sączyła się krew.

Oddychała ciężko, coraz ciężiej. Próbował ją jakoś ocucić, ale czuł, że jej ciało stawia opór. Oddech stawał się coraz cichszy, a głowa opadła bezładnie.

I wtedy wrzasnął z całych sił. Tak głośno, jak tylko pozwoliło mu zmęczone gardło.

W oddali usłyszał kroki. Cisza. I znów kroki. Coś przystanąło na chwilę, po czym zaczęło się zbliżać w jego kierunku.

Nie wiedział, co ma robić. Nie wiedział, co było prawdą, a co ułudą. Wciąż miał nadzieję, że Natalia się zaraz obudzi, powie: „Daleś się nabrać!”. I że ta krew jest sztuczna, a wszystko było po to, by zrobić mu na złość; że to tylko taki żart, który będą wspominać przez następne tygodnie. Uśmiechnął się pod nosem, a potem zaczął się śmiać.

Uklęknął, rechocząc bez opamiętania.

Nawet nie wiedział, kiedy poczuł czyjąś obecność. To coś stanęło za jego plecami. Ale on nawet nie miał siły, by się obrócić. Nim zdążył cokolwiek zrobić, otrzymał silny cios w tył głowy, który obezwładnił jego ciało. Przeszywający ból rozprzestrzenił się błyskawicznie po kręgosłupie, a chwilę potem trafił do nóg.

Ciało runęło. Upadł blisko niej. Po paru sekundach poczuł w rękach mrowienie, a zaraz potem całkowity bezwład.

Leżał, tracąc oddech, świadomość. A w miarę utraty świadomości świat stawał się coraz jaśniejszy.

Niepotrzebne im już były światła, by dotarli na dół. Przecież jest tak jasno...

Cholera, a tak się martwiłem, że zapadła ciemność... Zupełnie niepotrzebnie. Świat jest taki jasny, powiedział do siebie.

I właśnie wtedy zobaczył, a może tylko mu się to przyśniło, że ciemny i mroźny wieczór zamienił się w pogodny dzień, który nabrał ciepłych barw. Znow wszystko stało się przyjemne.

Nim zamknął oczy, na tle kołyszących się drzew dostrzegł wielką sylwetkę, która ścisnęła w rękę jakieś narzędzie.

Odchodziła spokojnym krokiem w głąb lasu, pozostawiając po sobie wgłębienia w gładkiej powierzchni śniegu.

Cztery tygodnie później

1

– Wobec tego jaki ma pan pomysł? Co mam zrobić? Stać tu do usranej śmierci? Wezwać kierownika?

Młody mężczyzna przełknął głośno ślinę i zrobił się jeszcze bardziej czerwony. System odmówił posłuszeństwa. Nie lubił, gdy działo się to przy gościach, zwłaszcza nerwowych. A ten mu na takiego wyglądał.

– Bardzo mi przykro. Nie wiem, jak mam to jeszcze panu wytłumaczyć.

– W dupę ptasznika, nie chodzi o wyjaśnienie – rzekł wściekły gość – lecz o to, jak zostałem potraktowany. I nie chcę, żeby mi pan powtórzył po raz dziesiąty. Samo mówienie słowa „przepraszam” nic nie da. Nie przyjechałem tu, by teraz słuchać tego skomlenia.

– Proszę zrozumieć, że to nie...

Gość nie dał mu dokończyć.

– To nie pana wina, że mój pokój został przydzielony innej osobie. Nauczyłem się już tego na pamięć.

Recepcjonista w czarnym garniturze przetarł czoło. Głowił się, jak wybrnąć z patowej sytuacji. Mógł jedynie wypowiedzieć tę samą formułę:

– Naprawdę bardzo mi przykro. Błąd w systemie. Komputer przydzielił ten sam pokój dwóm osobom. Zwykła pomyłka

techniczna. Postaram się wyjaśnić z informatykiem, jak mogło do tego dojść. Nigdy jeszcze nie zdarzyła nam się taka sytuacja. Dbamy o to, by nic takiego nie miało miejsca.

– To coś słabo dbacie. Mój kalkulator z komunii jest bardziej niezawodny od waszych systemów. Zależało mi na tym pokoju – dodał. Mówił szybko, wypowiadając słowa jak automat. – I na tarasie. A pan mi teraz wyjeżdżasz z czymś takim? To jakaś kpi-
na? Jakaś farsa, w dupę alpaki?

Recepcjonista nie wiedział, co powiedzieć. Wyczerpał wyczerpany pakiet uprzejmości. Popatrzył na gościa, który nie chciał przyjąć do wiadomości tak prostych faktów. Przecież to nie on się pomylił, lecz system.

– Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić w tej sprawie. Może jednak zgodzi się pan na inny pokój, podobny. Proszę chwilę poczekać.

– Nie chcę innego. Chcę ten. Ale skoro nie ma, to trudno. Jak rozumiem, wpłata zostanie bezzwłocznie zwrócona na moje konto?

– Jak pan sobie życzy. Mogę wypłacić w gotówce albo otrzymać zwrot na konto. Musi pan tylko wypełnić formularz.

Gość obrócił się nerwowo wokół własnej osi, patrząc na średniego standardu wyposażenie hotelu. Na ścianach wisiały stare pocztówki i czarno-białe zdjęcia. Pewnie przedwojenne, ale nawet z daleka było widać, że to reprinty. Jak nic wydrukowane z Internetu. Mimo historycznego akcentu, próby połączenia tradycyjnego i nowoczesnego wystroju, nie było tu ładnie. Po prostu coś nie zagrało, a spomiędzy tych niedopasowanych ze sobą elementów wylewał się kicz.

– Czy mogę znaleźć w okolicy hotel z podobnym widokiem?
– Gość nie ustępował. – Oczywiście mówię o Nowej Rudzie.

– Zaraz, sekundę – głos recepcjonisty się zmienił – proszę poczekać. Właśnie pojawił się komunikat w systemie, że zwolnił się pokój obok, z tym samym widokiem, z takim samym tarasem...

Gość potrząsnął głową. Wyglądał na zdeorientowanego. Zdziwiło go, że rzeczywistością nie kierował zdrowy rozsądek, a jakiś program. Gorzej, że i on popełniał błędy, a człowiek nie miał odwagi ich naprawiać. Jakby całkowicie zaprzedał swoją duszę diabłu technologii.

– Jak to możliwe?

– Sam nie wiem, ale ktoś właśnie wycofał rezerwację. Przed momentem pojawiło się powiadomienie, że pokój się zwolnił. A więc z radością mogę oznajmić, że otrzyma pan pokój. Bliźniaczy, obok. Czyli taki sam.

– Rozumiem, że wobec tego cała ta niepotrzebna szopka...

– Zgadza się. Jeszcze raz w imieniu hotelu „Dwór Staropolski” przepraszam za zamieszanie. Dopelnijmy formalności, dobrze? Czy mógłbym prosić o pana dowód?

Mężczyzna sięgnął po portfel i wyciągnął plastikową kartę z szeregiem cyfr, na który od paru lat nie lubił spoglądać. PESEL. Wciąż się czuł jak nastolatek, tyle tylko, że dobiegał już prawie czterdziestki i nawet nie wiedział, kiedy te lata minęły. Za kilka miesięcy ma urodziny. Koledzy z komendy nie dadzą mu żyć. Będzie musiał zorganizować huczną imprezę. Nie opędzi się od tych skretyniałych samców, marzących tylko o tym, by się nawalić jak dzikie osły. Poza jednym, który w czasie imprezy zamiast wódki będzie popijał koktajl białkowy, naprężając masywne bicepsy. Miał na myśli kolegę z wydziału, Dominika Rudzkiego; ten wolne chwile spędzał na treningach.

– Macie tu siłownię? – Uznał, że dobrym lekiem na poprawę samopoczucia będzie przerzucanie ciężarów. Skoro Rudzkiemu pomagało, to może jemu też nie zaszkodzi.

Recepcjonista skinął głową.

– W dodatku z dobrym sprzętem. Wszystko w cenie doby hotelowej.

Krauze już chciał coś powiedzieć, ale poczuł wibrację w kieszeni, a sekundę potem usłyszał motyw filmowy z drugiej części *Terminatora*. Nie sięgnął po komórkę, nie chciał wiedzieć, kto dzwoni. Pewnie ktoś z komendy. Zignorował to. Wpatrywał się w recepcjonistę, który nerwowo klikał w klawiaturę. Co za czas, demony aplikacji rządzą rzeczywistością, powiedział do siebie, po czym zaczął bębnić nerwowo portfelem o blat recepcji. Kiedyś, by podnieść sobie ciśnienie, wystarczyło komuś przywalić, a teraz człowiek podniecał się na widok migających ikon w aplikacjach.

– Dziękuję – powiedział recepcjonista, oddając mu dowód. Czy jeśli chodzi o czas pobytu, pana rezerwacja ulega jakiejś zmianie?

– Zostanę dwa, góra trzy dni – odpowiedział rzeczowo. – Myślę, że tyle mi wystarczy. Lubię spacerować. Mam ochotę poznać okolicę. Zajmuję się fotografią. Kiedyś moje zdjęcie wygrało w konkursie „National Geographic”, wie pan? Wydrukowali je w gazecie.

Recepcjonista nie zareagował. Nie wiedział. Nie mógł wiedzieć, bo Krauze to wymyślił. Celowo robił sobie jaja, zmyślając wiele rzeczy na poczekaniu.

– Trzy dni – powtórzył pod nosem. – Zaznaczę tak w systemie. No dobrze, zdaje się, że to wszystko. Wskażę panu drogę.

Mężczyzna wyszedł zza lady. Udali się do windy i wjechali na trzecie piętro. Przeszli do końca korytarza wyłożonego dywanem w kolorze bordo. Krauze szedł jako drugi. Wyczuł woń perfum. Jean-Paul Gaultier. Ciekawy zapach, choć zdecydowanie nie dla niego. Za delikatny i za słodki. Kiedyś kupił butelkę, ale oddał swojemu przyjacielowi Igorowi. Po jakimś czasie zorientował się, że Igor też ich nie używa. Gdy był u niego i musiał skorzystać z toalety, zobaczył, że perfumy

stały przy klozecie obok odświeżaczy powietrza. Przynajmniej do czegoś się przydały.

– Oto pana karta magnetyczna do drzwi – powiedział młody człowiek i przyłożył ją do czujnika. Drzwi się otworzyły. Pokój z wnęką kuchenną oraz oddzielną łazienką – całość była wielkości mieszkania ubogiego kawalera, ale to mu wystarczyło.

Krauze podrapał się po głowie. Zastanawiał się, jak się ma teraz zachować. Setki razy widział w filmach, że w takich sytuacjach należało dać napiwek za fatygę. Ale ten facet wcale się nie fatygował. Nawet nie tknął jego torby, w której miał najważniejsze rzeczy. Broń, kosmetyki, parę ubrań na zmianę oraz laptop. Może i dobrze, że nie ruszał, pomyślał. Torby dużo ważyły. Broń, druga zapasowa, amunicja – to kawał ciężkiego metalu, więc ten leszcz złamałby się wpół.

– A pralnia?

– Przy recepcji znajduje się tabliczka informacyjna.

– Nie obchodzi mnie tabliczka, ale pralnia.

Mężczyzna prychnął głupekowato. To już nie było wyuczone zachowanie z poradnika dla pracowników hotelu.

– Jest na niej informacja, że pralnia oraz siłownia znajdują się niedaleko recepcji. Przejście do baru jest po lewej, na wprost od pralni i suszarni, a na prawo od siłowni, o którą wcześniej pan pytał.

– Pralka na monety?

– Tak.

– Wobec tego – zrobił sztuczny uśmiech, zarezerwowany dla takich gości jak on – dziękuję za pomoc i wskazanie pokoju. Od tej pory będę sobie radził sam.

Recepcjonista uklonił się i zamknął za sobą drzwi.

Krauze położył torbę na łóżku i zaczął wypakowywać rzeczy. Nie przyniósł jeszcze wszystkiego. W aucie, które stało

na parkingu, znajdował się futerał z bronią. Myśliwski sztucer Mauser M12 do polowania na sarny, dziki i jelenie. Ewentualnie na ludzi. Jego żona nawet nie wiedziała, że ma takie cacko. Trzymał je schowane w piwnicy, podobnie jak dubeltówkę, gazy łzawiące, kubotany, paralizatory oraz spory zapas amunicji. Nawet Igor nie widział jego arsenału. Zawsze żartował, że gdyby kiedyś doszło do wojny domowej, a oddziały partyzantów dotarły do Kłodzka i próbowały wywlec wszystkich cywiliów na ulicę, jego mieszkanie nie byłoby łatwym bastionem do zdobycia. Jedzenia wystarczyłoby im na wiele tygodni. Broni na wiele dni zaciętych walk.

Podszedł do stojącego na parkingu zabytkowego czerwonego jaguara, jego oczka w głowie. Wyjął czarny futerał, a potem wrócił do pokoju. Na wszelki wypadek przygotował kolejną wymówkę, że jest wędkarzem i przyjechał tu na pstrągi. Futerał do złudzenia przypominał te, które można było kupić w sklepie wędkarskim. Wędkarz i fotograf. Dobrze brzmiało, choć nie miało nic wspólnego z prawdą.

Trzymając w ręku myśliwską broń, od razu poczuł się bezpiecznie. Nawet nie wiedział, czy wniesienie jej do hotelu było zgodne z regulaminem. Ale miał to gdzieś.

Wyszedł na taras i spojrzał w dal, na pasmo królujących nad doliną kilkusetmetrowych wzniesień, u podnóża których znajdowały się nieduże miasto, Nowa Ruda, oraz zatopione w popołudniowej mgłę niewielkie wsie.

Popatrzył na szare kamienice. I w tej samej chwili poczuł metaliczny posmak w ustach. Nie wiedział, czy to smog, ale z pewnością nie było to coś, co chciał mieć na języku.

Przyglądał się przez dłuższą chwilę miejscu, do którego musiał przyjechać. Polecenie służbowe, nie mógł więc odmówić. Oczywiście w grę wchodziły dojazdy, w końcu z Kłodzka do Nowej Rudy jest rzut beretem.

Rozmyślał przez jakiś czas, jak będzie dla niego lepiej. Znał siebie i wiedział, że jeśli się tym zajmie, cały świat odpłynie. Ale Ola знаła go jeszcze lepiej. Nie chciała, by wracał do domu w nocy, z teczkami akt morderstwa, które mógłby zobaczyć ich syn Marcel. Już parę razy podejrzwał makabryczne zdjęcia, a potem opowiadał o tym kolegom. Nie chciała, by to się powtórzyło.

Uznali więc, że powinien skoncentrować się na pracy i nie wracać do domu na noc. Ola ucałowała go i zapewniła, że się wszystkim zajmie. Mówiąc to, miała na myśli Marcela, z którym mieli sporo problemów, głównie szkolnych. Zażartowała, że gdyby nie dała sobie rady, odeśle go do chrzestnego, do Igora.

Zamknął drzwi tarasowe, zrobił kilkadziesiąt pompek, a potem wziął prysznic. Gdy wyszedł, popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Przez dłuższą chwilę gapił się na szczupłą, wysportowaną sylwetkę biegacza krótkodystansowego. Przeczesał odruchowo blond włosy, posmarował twarz kremem do rąk, resztę wtarł w palce i wierzch dłoni.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

ZA ODMALOWANYMI FASADAMI CZAI SIĘ PRAWDZIWE ZŁO

W Górach Sowich dochodzi do odrażającego morderstwa. Ginie dwoje studentów. Funkcjonariusze z Nowej Rudy od miesiąca prowadzą bezwoczne śledztwo. Na pomoc miejscowym policjantom zostaje wysłany podkomisarz Filip Krauze z Kłodzka.

Śmierć pary młodych ludzi szybko staje się obsesją policjanta, który zrobi wszystko, by rozwiązać tę najdziwniejszą w jego dotychczasowej karierze sprawę. Próbując dotrzeć do prawdy, Krauze musi się zagłębić w ciemne zaułki górskiego miasta, aby poznać jego zbrodnicze oblicze.



Nr 21000370/D0

ISBN 978-83-68758-89-4



9 788368 758894



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł